



GARDŁOWA SPRAWA

Waarłam w karczmie ◦ Plugawe obyczaje mnicha ◦ Rzyć w węglach, czyli rozmowa z Dydyńskim ◦ Pościg po Samborze ◦ Stolnikowic w opałach ◦ Przed obliczem Dymitra ◦ Sądny dzień ◦ Carska łaska ◦ Zobaczysz Moskwę ◦ Nagroda ◦ Ars amandi o północy ◦ Niedźwiedzi Chrest ◦ Bies na łańcuchu ◦ Co przyniesie Fortuna?

Die 3 augusti, Anno Domini 1604
Sambor, karczma spiska
Godzina druga w południe

Dedyński podważył zasuwkę ostrzem kindżału wsuniętym w szczelinę drzwi. Zatrzask podniósł się w górę, a stolnikowic na duchu. Okazało się, że kulawy, koso-oki karczmarz połączony złotym talarem nie łągał, wskazując najlepszy sposób otwarcia drogi do alkierza. W dodatku oślepiiony blaskiem dwóch następnym talarów obiecał przymknąć jedno oko, a drugim patrzeć przez palce, kiedy pan Jacek będzie gawędził z Jaickim. Szlachcic i mnich mieli sobie do powiedzenia równie wiele, co starzy kochankowie, a ich pogawędka mogła okazać się głośna i pełna namiętności.

Stolnikowic otworzył drzwi kopniakiem i wkroczył do alkierza dumnie niby paw. Waarłam siedział na ławie jak stary indor stroszący wyleniały ogon do zacnej perliczki. Perliczka zaś była młoda i przycupnęła na kolanach mnicha. Dydyński nie sądził, aby miała więcej niż jakieś osiem, dziewięć wiosen. Siedziała w koszuli opuszczonej do pasa, a Waarłam sapał i dyszał niby kowalski miech, gniotąc w uścisku jej ledwie zarysowane piersi.

Na widok szlachcica wpadającego do alkierza dziewczeczka pisnęła cienko. Wyrwała się z objęć starego jak łania, załomotała bosymi piętami po klepisku, schroniła się za piec, podciągając wystrzępioną koszulinę.

– Czego!?! – warknął Waarłam. – O co wam idzie?! Szukacie guza?!

Dydyński przymknął drzwi z trzaskiem. Zasunął skobel, który tym razem zazgrzytał nieprzyjemnie.

– Szukam prawdy o czerńcu Waarłamie, który wysługiwał się ludziom dybiącym na zdrowie carewicza Dymitra. A potem pojawił się za jego plecami, aby wydać wrogom swojego pana i łaskawcę!

– Coś powiedział? – wybełkotał osłupiały Waarłam. – Ja zdradnyk? Ja na życie Dymitra miałbym nastawać? Carewicza? Sołnca prawiednowo, swietła russkowo⁵³? Takie to wielkie kłamstwo jak wieża przemyska. Kto ci tego naopowiadał, pane Lach?!

– Nie wykpisz się gadaniną. Są na to wszystko bumagi i gramoty. A nade wszystko spisane słowa Moskala Borysa, który na pytkach wyznał, że miał przypomnieć tobie o dawnej służbie i powinnościach wobec wrogów Jego Carskiej Mości.

Waarłam zaczerpnął powietrza, a potem zarechotał, zacharczał z nagłej wesołości tak mocno, że nitki śliny pociekły na jego posiwiałą brodę.

– Komu służysz, Waarłamie?! Gadaj wszystko, co wiesz, zanim mistrz Friedrich pociągnie cię za język włoską liną! Kto jeszcze jest w spisku? Dlaczego chcecie porwać Dymitra?

53 rus. – słońca prawdziwego, światła ruskiego

Mnich charczał i krztusił się od śmiechu, zbijając tym samym Dydyńskiego z pantałyku, a w podgolonym łbie stolnikowica zaczęło kielkować podejrzenie, że nie wszystko pójdzie tak, jak to sobie zaplanował, i być może trafił na gracza, co nie wypadł sroce spod ogona.

– Chcesz mnie szantażować? – wystękał Waarłam, krztusząc się i chwytając z jękiem powietrze, jakby się dusił albo miał czkawkę. – Czym i kim, panie szlachcic? Zeznaniem jakiegoś Borysa wymuszonymi na katowskiej ławie? Listem, którego nie widziałem? Phe, he, he... Mówisz, że służyłem wrogom Dymitra, a, dalibóg, oddałbym wszystkie młode szczeniątka, które obłapiałem przez ostatni rok, że nawet nie wiesz, kim są wrogowie cara! Dalejże, panie łycar. Okuj mnie w kajdany! Oskarż przed Dymitrem. Zobaczymy, czy uwierzy ci na piękne oczy. No, na co czekasz?

– Dowód jest w moim ręku. – Dydyński zaświecił Waarłamowi w oczy wyciągniętym z zanadza listem. – Tu czytaj. – Wskazał palcem brudny skrawek papieru. – Oto dowody twej winy, parszywy moskiewski fajfusie!

– Do... Do.... Dowody – Waarłam nie mógł złapać tchu, a Dydyński przestraszył się, że czerńca chwycą nagła apopleksja i paralusz razem wzięte. – Jakie? Czego? Może tego, że przedkładam dziewczątka nad dojrzałe baby? I w tej karczmie widziałeś mnie na kolanach z młodą dziewczką? Też mi zbrodnia! Zojka! Chodź tu, dziecko!

Dydyński przygryzł wąsa. Mnich gadał prawdę; trudno było znaleźć kogoś, nie tylko w Samborze, ale i w całym województwie, kto by się wzburzył na wieść, że Waarłam raduje się nie-doroślami ciałeczkami. Ot, jeszcze jedna fanaberia starego.

– Myślisz, że takie wieści wzbudziłyby coś więcej – wysapał Moskal, jakby odgadując jego myśli – niż śmiech i drwiny na dworze pana wojewody?!

– Śmiech usłyszysz niebawem – mruknął Dydyński. – Nie będzie to wesoły głosik dzieciątka, ale radość jaśnie panny wojewodzianki, której pokażę list. Stawiam husarskie ostrogi

przeciwko moskiewskim postołom, że Maryna uraduje się, mogąc zaszcześcić w umyśle Dymitra nieufność co do twej osoby. A znając ją, należy się spodziewać, że prędzej Bieszczad zwali się z posad, niż zaniecha podszeptowania do ucha carowi, iż jesteś zdrajca, łotr, szelma i śmierdzące bydlę!

Waarłam umilkł.

– Ale nie musi się tak stać. Bo jeśli powiesz mi, komu naprawdę służyłeś i co to za ludzie, którzy mieli przypomnieć tobie o dawnych powinnościach, zwrócę ci list i zapomnę, że kiedykolwiek go widziałem!

Mnich zatrząsł się jak wór sadła.

– To raczej ty, Jacku Aleksandrowiczu, zapłać mi basarunek! Dwadzieścia dukatów! Za to, że nawet nie pisnę przy Dymitrze, żeś mnie tu napastował. Bo jeszcze pomyśli kto – lubi Waarłam młode dziewczątka, lecz pan Dydyński nad niewinne ciała dziatek przedkłada wątpliwe rozkosze starej żopy biednego mnicha!

Dydyński uniósł dłoń ku rękojeści szabli.

– Chcesz uniknąć kary i niesławy?! – zagrmiał Waarłam. – Dalej, Lasze, bij czołem, proś o przebaczenie. Bo tylko na kolanach możesz wysłużyć sobie moją łaskę! – Opuścił dłoń, pokazując, jak nisko chce oglądać głowę szlachcica.

Cierpliwość Jacka eksplodowała jak granat. Dosłownie i całym w przenośni. Stolnikowic wpadł na Waarłama niczym kula wystrzelona z arkebuza, chwycił go za brodę i kłaki na łbie, poderwał z ławy, rzucił na ścianę, aż zadudniło, a z półki stoczyły się i stłukły z brzękiem dwa gliniane dzbany.

Podetknął pod brodę Jaickiemu ostrze kindżału, wbił pod pulchny, podwójny podbródek, przycisnął mocno, może nawet nazbyt brutalnie, bo nagle zobaczył na ostrzu krew. Cały świat: nalane, brodate oblicze mnicha, grubo ciosany stół, ławy i kobierce na ścianach, zatańczył Dydyńskiemu przed oczyma.

Jaickij wybałuszył oczy, otworzył gębę, zadygotał. Pulchne jak serdele paluchy zagmerały w okolicy serca.

– Puskaj... Do dytka... Du...uszę.. Powietrza... Woody...

– Zaraz cię podleczę! – warknął Dydyński i lewą pięścią uderzył go w wyдутy brzuch. Szybko i z zamachu.

Waarłam zacharczał, rzucił się tak mocno, że prawie nabił się na ostrze kindżału, poczerwieniał, ale pozbył się trudności z oddychaniem. Szlachecki kułak wykurował go lepiej niż wszyscy samoborscy doktorzy, cyrulicy i worożycha Majbutnia razem wzięci.

– Posłuchaj mnie, psi moskiewski synu, ośli kpie, suczy chwoście! Albo będziesz odpowiadał składnie i rozumnie, albo dziś jeszcze polecisz do rajy i pocałujesz w rzyć swojego ruskiego Boga! Rozumiesz, co do ciebie mówię, parchu?!

Waarłam skinął głową. Zabawa się skończyła, a role odwróciły. Naprężył żelazną wolę szlachcica niczym szablę ustawioną na płask i teraz odbiła, wystrzeliła z ręki, waląc go w pysk jak dworską sobakę.

– Kto chce porwać Dymitra? Czy to sładzy cara Godunowa?!

– Jacy sładzy? – Waarłam strzyknął śliną jak jadowity wąż. – Ja tylko chciałem dobra... carewicz Dymitra.

– Kto jeszcze jest w spisku? Kto zdradził?!

– Nie wiem – wycharczał Waarłam. – Ja nie przedawczyk. Chcieli mnie szantażować. Przysłali człowieka...

– Jakiego człowieka?! – Dydyński wbił mocniej ostrze kindżału. – Moskala Borysa?!

– Innego... Miał znak. Ich znak!

– Jaki znak? Łziesz nie jak pies, ale całe stado kundli!

– Na Swiatuju Przeczystuju Trojcu... Na cara Boha, nie łgam, pomiłujcie, panie. To był Niedźwiedzi Chrest... Znak posłuszeństwa.

– Jaki chrest? Co ty wygadujesz?

– Krzyż... Z niedźwiedziem... Ja...

– Czekaj. – Dydyński zamarł, bo wydało mu się, że starzec jednak nie łże. Nagle, zupełnie niespodziewanie, coś go olśniło. Przypomniał sobie o krzyżyku znalezionym na szyi martwego herszta bandy, która porwała Dymitra. Odsunął rękę z kindżałem, sięgnął do kalety, odnalazł krzyżyk z łbem niedźwiedzia.

– Czy to jest Niedźwiedzi Chrest? O takim krzyżu mówisz?

Oczy Waarłama uczyniły się okrągłe niby dwa dukaty. A potem stało się coś dziwnego. Mnich padł na kolana jak wór sadła. Złożył rozdygotane ręce, jakby Dydyński nagle zmienił się w archanioła Michała.

– Chrest – wycharczał. – Ty masz Chrest, Jacku Aleksandrowiczu, panie mój i władco.

Stolnikowicz zamarł, spojrział z niedowierzaniem na Jaickiego, a potem na kołyszący się na rzemieniu krzyżyk.

– Słowo – wybełkotał mnich. – Powiedz tylko Słowo, a będę bił ci pokłony!

– Jakie słowo?!

– Nie znasz go... Skąd to masz? Skąd wzięłeś Niedźwiedzi Chrest?!

– Ja tu zadaję pytania! Czy to jest ten chrest? To ci pokazali? Waarłam milczał.

– Co oznacza ten znak?

– To nie twój – wybełkotał mnich. – Ty go zabrałeś... od Makarego...

Dydyński nie miał czasu bawić się w podchody i zgadywanek. Chwyił starego za szyję, strzelił pięścią w brzuch, aż mnich stęknął. A potem pchnął go w stronę paleniska, w którym dogorywały czerwone węgle pozostałe po grubych smolnych szczapach ciśniętych wcześniej przez karczmarza w okopconą czeluść pieca. Mnich wrzasnął, ale szlachcic wduślił go podkutym butem w żar, wcisnął w palenisko tak, iż Waarłam siadł wydętym zadem na dogasających głowniach.

Jaickij najpierw krzyknął, a potem, kiedy w izbie rozszedł się swąd przypalanego sukna, zawył jak pies, rzucił się w rękach Dydyńskiego, poderwał w górę. Na próżno, dłonie stolnikowica trzymały go krzepko niczym obręcz gąsiora leniwego chłopca.

– Powieeeeem! – rozdarł się Waarłam. – Wasze wieliczeństwo, będę gadał!

– Co to jest? – Dydyński poderwał go w górę, popchnął na okap nad paleniskiem, aż zadudniło, po czym znowu podetknął pod gardło ostrze kindżału. – Mów!

– Boooli! – zaszlochał mnich, dygocząc jak osika na wietrze. – Coś ty zroobił...

– Jeszcze chwila, a wyprażę ci nie tylko siedzenie, ale i podeszwy! – warknął szlachcic.

– Niedźwiedzi Krzyż... Miał go Makary, co chciał mnie straszyc. Nie uległem.

– Jak wyglądał ten Makary?! Czy to był szlachcic? Lach?

– Udawał Lacha... zarośnięty pod oczy... sine i nieruchome, chudy... Z rapiereeeeem! – wycharczał mnich.

Dydyński rozluźnił uchwyt, bo opis pasował jak ulał do starego znajomego, ponurego draba, którego zabił na trakcie pod Kosztową.

– Do czego potrzebny jest ten krzyż?!

Waarłam ujął Chrest w dygoczące ręce, przyglądał mu się z nabożną czcią.

– Kto go okaże, przy tym władza. Takiemu czołem trzeba bić jak rab. Bo Chrest mają tylko ich posłańcy.

– A jak ktoś odbierze wysłannikowi ten... Chrest? To co się dzieje? Jak poznają, czy jest prawdziwy? I, do kroćset, co to znowu za oni? Kto chce porwać Dymitra?!

– Nie, nie, czekaj – wydyszał Waarłam, płasząc pomimo swej tuszy na ostrzu zwinniej niż młoda kotka na gorącym piecu. – Chrest to nie wszystko. Pokazanie go znaczy tyle, co byś choja postawił. Bo ten, co pokazuje krzyż, całuje potem trzy ramiona ku czci Trojcu Swiatej. A jedno – ku czci Marii Przeczystej Dziewicy. Potem mówi Słowo dla okazania, że ono było na początku i Słowo było u Boga. I że należy do właściwego bractwa.

– Jakie słowo?

– Powiem wam... Puskajcie.

– Mów. – Dydyński przestał pieścić gardziel Waarłama ostrzem kindżału, ale wciąż trzymał go w pobliżu grdyki Moskala. Jaickij dotknął palcem wskazującym grubych, opuchniętych warg. Jacek skłonił głowę, nadstawił ucha.

– Az jesm' s wami, i niktoże na wy<54> – wycharczał Waarłam.

Dydyński poznał te słowa. To był troparion Krzyża Świętego, zwykła prawosławna modlitwa. Chciał się wyprostować, lecz zanim to uczynił, mnich wepchnął mu do ręki Chrest, a kiedy dłoń szlachcica odruchowo zacisnęła się na drewnie, prawe ramię Waarłama wystrzeliło z rękawa mantii z błyskiem stali. Jaickij pchnął Jacka prosto w pierś! Wbił sztylet w samo serce, mocno, głęboko, ze zgrzytem!

I zaraz wywinął się zwinnie jak frant spod pręgierza, rzucił do drzwi. Dydyński skoczył za nim, lecz w tejże samej chwili Waarłam skulił się, zwałił na kolana obok paleniska. Szlachcic myślał, że padł rażony apopleksją albo że po tych wszystkich awanturach zatchnął się na śmierć własnym tłuszczem...

I mylił się jak ślepiec prowadzony przez kulawego. Jednym ruchem Jaickij porwał z grubo garść gorejących głowni, a potem cisnął je w oblicze szlachcica. Dydyński zasłonił oczy zgiętym ramieniem, obrócił głowę, potrząsnął łbem, strząsając gojący popiół z kołpaka, nie widząc nic.

Po chwili poprzez szary pył, mrugając oczyma, dostrzegł tylko otwarte drzwi.

To wszystko stało się tak nagle, tak niespodziewanie, że nawet nie zdążył krzyknąć. Wciąż nie dowierzając, że moskiewski mnich okazał się szybszy od pierwszego rębajły ziemi sanockiej, klepnął się lewą ręką – w której wciąż trzymał Niedźwiedzi Chrest – w pierś. W rozcięty żupan, spod którego wyzierały łuski juszmana – kolczugi wzmacnianej płytkami, jaką w swojej mądrości włożył pod suknię, idąc na spotkanie ze starym diabłem Jaickim. Kawałek żelaza z warsztatu imć pana Leżańskiego uratował mu życie! Teraz zrozumiał, że Waarłam opowiadał mu to wszystko, aby odwrócić uwagę i tym pewniej przeszyć ostrym żelazem.

Jednym ruchem wcisnął Niedźwiedzi Chrest w zanadrze, porwał za szablę i niczym chart skoczył śladem uciekającego. Wpadł do sieni jak burza, przewrócił beczkę, potracił dziezę, która zleciała na glinianą polepę, wypłoszył tłustego rudego kocura dożywającego ostatnich dni na łaskawym chlebie karczmarza.

I wypadł na ulicę Przemyską, wprost w tłum zawodzący żałobne pieśni. Tuż obok karczmy przechodził kondukt; długimi sznurami ciągnęły bractwa żałobne w kapturach narzuconych na oblicza, z gromnicami w rękach. Dalej szli ministranci i kościelni słudzy z chorągwiami, z których szczyrzyły zęby trupie czaszki, szkielety goniły po grobach za panem, wójtem i plebanem.

Dydyński wpadł między żałobników, bo pośród nich mignęły plecy Waarłama. Nie bacząc na powagę procesji, roztracił mieszczan ramieniem, przepchnął się do przodu.

Czerniec pojawił się i zniknął; wypłynął wśród korowodu poszarpanych dziadów, aby zaraz utonąć między czarnymi opończami bractw cerkiewnych. Dydyński obalał ludzi, płazował szablą, aż wokół rozległy się wrzaski i przekleństwa.

Gdzie był Waarłam?! Do kroćset, stolnikowic nie mógł dopuścić, aby tamten poszedł pierwszy do Dymitra, czy może nawet do samego pana wojewody sandomierskiego! Gdzie był ten przeklęty pop? Gdzie się schował?

Potracił mieszczkę w czerni. Ktoś zdzielił go pięścią w łeb, a stolnikowic odpowiedział płazem szabli. Wyrwał się z kręgu żałobników, przemknął obok trumny i dostrzegł z lewej, między ministrantami, rąbek czarnej mantii Waarłama.

Nie było tam jak dotrzeć; procesja niosła go coraz dalej i dalej, pomiędzy stosami beczek i kupieckimi ławami, drewnianymi ścianami domów i parkanami z desek. Roztrzając łokciami zawodzących tropariony, depcząc po nogach sędziwe matrony, czeladników i księży, dotarł wreszcie do skraju pochodu. Zwolnił, bo drogę przegrodziła mu wysoka, porowata ściana kościoła Dominikanów przy rogu Dominikańskiej.

Nie widział nigdzie Jaickiego. Dlatego jego wzrok powędrował ku smukłej wieży świątyni. A wówczas uśmiech wykrzywił usta pana Jacka. Schronić się w katolickim kościele? To pasowało do duszy mnicha pokręconej jak zawoje Dniestru. Nikt nie szukałby wszak prawosławnego u... ojców dominikanów!

Pchnął drzwi i wkroczył do wnętrza. Ogromna, wysklepiona nawa była pusta, ale zarazem pełna słonecznego blasku. Jak czarny robak na tle obrazów, alabastrów i białych ścian zamajaczyła przed nim mantia Jaickiego.

Dopał go ze wzniesioną szablą po kilku krokach. Mnich dyszał, rzęził, klęcząc na stopniach chóru.

– Rzuć broń! – zakrzyknął Dydyński. – Oddaj sztylet, zdrajco!

Waarłam spojrział na niego tak nienawistnym wzrokiem, że zawartej w nim żółci starczyłoby na sowite obdzielenie dziesięciu chorych na zgniłą febrę, fryzle i petocie albo na pożywkę dla stu wesołych choleryków. Dydyński nie zbliżał się; szrama na jego juszmanie świadczyła aż nadto dobrze o tym, że osaczony Waarłam stawał się równie układny co jadowita żmija.

Jacek uniósł szablę. Chlasnąłby Moskala przez rozkudłany łeb, jednak Jaickij wyciągnął sztylet, odrzucił, a Dydyński odtrącił go nogą. I zaraz porwał zakonnik za brodę, poderwał w górę. A potem popchnął – jęczącego i biadającego – w stronę wyjścia.

Chciał wrócić do gospody, zawlec tam czerńca i zakończyć przerwane przesłuchanie. Waarłam nie stawiał oporu; jednak nawet największy rezun i swawolnik zmiękłby niczym woskowa świeca, gdyby nad karkiem błyszczało mu ostrze krzywej węgierki.

Dydyński pchnął drzwi, wywlókł mnicha na ulicę. A kiedy chciał ruszyć dalej Przemyską, zatrzymał się, bo pani Fortuna właśnie odwróciła się doń tyłem niczym stara małpa, ukazując pryszczaty zadek.

Zadek miał frasośliwe oblicze Dworyckiego i sześciu semenów dworskich, którzy jechali stępą środkiem Przemyskiej. Waarłam wyszarpnął się zwinnie, skoczył do przodu.

– Gdzie wy się podziewacie! – zakrzyknął. – Mielście przed karczmą czekać! Hore wam będzie, kiedy się Dymitr dowie, że tak strzeżecie mojej osoby. Gwałt się dzieje! Szlachcic mnie porwał, męczył, obił, Hospodi pomóż. Spasi mene, Boże wielikij i mnohomilostiwyj!

Dworyckiemu nie trzeba było powtarzać wszystkiego dwa razy. Semeni skoczyli do przodu, otoczyli ich kręgiem zgoła mało anielskich wąsatych gęb, okręgiem parsających, bijących kopytami o ziemię koni.

– Co waść tu robisz?! – zakrzyknął Adam. – Co to wszystko ma znaczyć?

Dydyński zerknął na Waarłama, a potem na swoją szablę.

– Nic.

– Jak to nic?! Jakie nic? Co za nic?

– Chciałem pogwarzyć z ojcem Waarłamem.

– Napadł mnie! Porwał! Obił! I jeszcze łże jak sobaka!

– Panie Dydyński, zdaj broń i chodź z nami!

– Pójdę, ale z szabelką. Nie będziesz mnie włóczyć jak psa na powrozie!

– Nie będę. Ale broń musisz oddać.

– Sam ją weź!

Kary jak noc koń ruszył z miejsca, obrócił się bokiem do szlachcica, ustępując od łydki Dworyckiego. Dydyński cofnął się o krok, oparł plecami o drewnianą ścianę domostwa. Przeciwnik przyparł go do bali, zbił ostrze, ciął z góry, aż szlachcic bezradnie opuścił broń, zasłonił się lewą ręką.

– Na zamek! – zakomenderował Dworycki.



swiatksiazki.pl

Kup w świecie książki